



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 90. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Ranny czy raniony?—Wolny strzelec (wiersz).—Umarła, przez Oktawiusza Feuillet (dalszy ciąg). — Rycerz Mora (dalszy ciąg). — Z pod naszej strzechy. — Korespondencya z Paryża. — Wiadomości z kraju. — Wiadomości z za granicy. W Dodatku: Tajemnica księdza Cezarego. (arkusz 5).

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mój i Powieści** wychodzić będzie pod temi samymi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej skutecznie za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie rs. 1 k. 25

Półrocznie rs. 2 k. 50

Rocznie rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mój jak i Przyjaciela Dzieci, wy-

chodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora Kłopotów starego Komendanta, po niższej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 12, w ciągu roku wydanych zostało 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobroduszością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok Nr 3**.

RANNY CZY RANIONY?

Czystość i poprawność języka są, a przynajmniej powinny być jednym z najpierwszych obowiązków prasy peryodycznej, jednym z najistotniejszych warunków jej bytowania.

Zgodziwszy się na to, bo trudno, zdaniem mojem, nie zgodzić się na tak szczytne jej posłannictwo, którego strzedz winna jako najdroższą odziedziczoną po przodkach puściznę, jako niewyczerpaną skarbnicę uczuć i myśli narodu, wyznać jednak otwarcie należy, iż nigdzie chyba bardziej

niż u nas nie lekceważą sobie świętego tego obowiązku i nigdzie też tak opieszale jak u nas nie przestrzegają nieodzownego tego warunku. Owszem, na prasie naszej spoczywać może i w znacznej mierze cięży zarzut rozpowszechniania słów i wyrażeń, niezgodnych z duchem i prawidłami mowy rodzimej.

Wiemy, iż pisma codzienne (z których nawet jedno dwa razy dziennie się ukazuje), tłumaczą się z tego zarzutu zwykłą a wygodną wymówką: brakiem czasu; wiemy także, iż pisma tygodniowe, miesięczne, kwartalne, a nawet roczniki, lubo więcej stosunkowo i znacznie więcej miałyby czasu do poprawiania zmyłek i obcych zwrotów mowy, jakich się zbyt często dopuszczają, wołają przecież winować innych, kładąc usterki te na karb niewagi korektora, albo też samowoli zecerskiej.

Nie wchodząc wszelako w rozbiór pytania: kto jest bezpośrednim winowajcą, a kto pośrednim tylko krzewicielem nader częstych w uczynnej zkadinał prasie naszej okaleczeń mowy polskiej, pragniemy od czasu do czasu wykazywać nietylko wciskające się do niej naleciałości obce, bez których obejść się potrafimy, ale zarazem gromić używanie i tych, z własnej już jej gleby poczętych i na niej wyrosłych słów i wyrażeń, które w skutek niewłaściwego zastosowania podlegają niekiedy tak dziwnym przeobrażeniom, iż zawierają pojęcia dalekie od rzeczywistego, właściwego ich znaczenia, wyobrażenia niezgodne z temi, jakie wyrażają i jakie miećby niezmiennie powinny.

Jednym z najbardziej rażących i wielce rozpowszechnionych błędów w języku piśmiennym naszym, jest nieprawidłowe i nieloiczne używanie przymiotnika *ranny* w znaczeniu imiesłowu *raniony*. Codzień prawie czytać i słyszeć nam się dają zdania np. takie:

„Ranny, brocząc we krwi, upadł i natychmiast stracił przytomność.”

„W zawiązanej bójce mnóstwo zabitych i rannych.”

„Na wszelki wypadek, gdyby nowych rannych wznowiona walka dostarczyć miała.”

„Bulgarowie stracili 100 zabitych i rannych.”

„Rannemu udzielono natychmiastowej pomocy.”

We wszystkich powyższych i wielu innych jeszcze zdaniach, które moglibyśmy z czasopism naszych żywcem, jak to powiadają, wypisać, znajdujemy przymiotnik *ranny*, bogdaj czy nie we wszystkich przypadkach liczby pojedynczej i mnogiej i to w zastosowaniu jak najbłędniejszym (*), bo samo już pochodzenie jego od pierwiastku *rano* t. j. przysłówka, wyrażającego okoliczność czasu i nie wspólnego z przelewem krwi t. j. ze słowem *ranić* i *rana* nie mającego, wykaże nam właściwe tegoż przymiotnika znaczenie, ograniczające się li tylko do pojęcia, a raczej określenia czasu, czyli pewnej części dnia od nastania świtu albo jutrzni do południa. Mówiąc innymi słowy, wyraz *ranny* jest tylko równoznacznikiem przymiotnika *poranny*, wczesny i w mowie też ludu naszego w takim jedynie znaczeniu poznać się z nim można, bądź w przysłowiacz, bądź też w piosnkach z różnych okolic kraju. Tak np. o człowieku, co zwykł bardzo rano, do dnia, czyli o świcie dnia wstawać, mówią: „A to ranny ptaszek!” Podobnie twierdzą, że: 1) Na świętego Marka, późny owies, ranna tatarska. 2) Przejazdzka, myślistwo, gospodarstwo, potrzebują rannego wstania. 3) Rannego wstania, wczesnego siania, i młodego zamążpójścia lub ożenku nikt nie żałował. 4) Ranne wstanie, młode ożenie, wczesne zasianie, nigdy nie zaszkodzi. 5) Siejba ranna czasem omyli, późna zawsze. 6) Śmierć ranna wielom pożyteczna i 7) Żyd chrzczoney, wilk chowany, przyjaciel jednany, tak trwają, jako babi tanniec i deszcz ranny.

Natomiast zwrot imiesłowowy słyszymy w słowach piosnki:

„A na tej łące, na tej zielonej,
Leży Jasiunio bardzo zraniony.”

albo:

„Moja matusiu, odejdz ode mnie,
Bo moje serce zranione we mnie.”

(*) Że podobne wykroczenia, sprzeczne z zasadami języka, nie są wyjątkowe tylko, lecz działają zaraźliwie i na szerszy ogół piszących, dowodzą tego utwory zdolniejszych nawet autorów, którym znajomości mowy ojczystej odmówić niepodobna, a którzy mimo to niezawsze ustrzedz się mogą zboczeń w tym właśnie rodzaju. Tak np. Piotr Jaksza Bykowski w powieści „Chorągwie Kmitów”, którą mamy pod ręką, pisze na str. 94: „Ciężarem tym był inny człowiek, a snąc srodze zniemożony, zapewne ranny”. „Oglądając się pilniej, aby o rannego lub trupa się nie potknąć.” „Siedmiu naszych zginęło w głównej potrzebie przy hetmanie, gdzie ojciec i ja byliśmy ranni, on, niestety, śmiertelnie” (str. 100). „Za chwilę wracając z naczyniem pełnem zdrojowej wody, przytknął je do ust spragnionych rannego” (str. 101). „Po krótkiej modlitwie wracał co żywo do rannego” (str. 103).

W żadnym jednak z utworów ludowych nie udało nam się dostrzedz tej dziwnej sprzeczności, wynikłej z pomieszania obu tak różnorodnych pojęć; nigdzie nie spotykamy w nich takiej zamiany, takiego, że się wyrazimy, *quod pro quo*, jakie upowszechniło się tak niewłaściwie, bo bez żadnego uzasadnionego powodu, w piśmiennictwie i mowie stanów wyższych (*).

Z wszystkiego przecież, cośmy dotąd powiedzieli, wynika, żeśmy najniesłuszniej postąpili, wyjmując, czy też wycieśniając z użycia imiesłów *raniony*, a zastępując go nieproszonym, uprzywilejowanym i podszywającym się pod jego miano intruzem w postaci przymiotnika *ranny*.

Według też przyjętych powszechnie zasad słuszości, poszkodowanemu należy się zadośćuczynienie, chociażby ono licowało z brzmieniem znaczonego przysłowia o nieproszonym gościu. Wypadałoby przeto przywrócić każdemu z wyrazów tych właściwe jedynie znaczenie i używać ich stosownie, nie mieszając odtąd jednego pojęcia z drugim.

Nic w tem trudnego, skoro zważymy, że wyraz *ranny* nie jest skróceniem imiesłowu *raniony*, gdyż wyrzutni takiej, jako dwójznanca, język nasz nie znosi i nie potrzebuje i że używamy on być winien tam tylko, gdzie mowa o czasie i gdzie można go zastąpić (rozumie się, bez przelewu krwi), słowami blisko i równoznacznymi: *poranny*,

(*) Wyjątek pod tym względem stanowi jedna z piosnek, nuconych w okolicach Prasnysza, w której wyraz *ranny* przekształca się w każdej z trzech jej strofek na *rany*, stając się tym sposobem na pierwszy zwrot oka niby imieniem rzeczownem; ale łatwem jest to do wytłomaczenia, gdyż wyjątek ten uczyniono wyłącznie dla rymu, jak się o tem najwidoczniej przekonujemy z brzmienia odnośnych tej piosnki ustępów, a mianowicie:

„A z wieczora zawzdy,
Kiedy świecą gwiazdy,
Czekam, aż świt rany:
Czy nie jedzie,
Czy nie jedzie
Mój Jasio kochany!

* * *

Już miesiąc zaszedł,
Gwiazda się zaćmiła,
Jużem swe oczy,
Za nim wypatrzyła;
Juże świta świt rany,
A nie jedzie,
A nie jedzie
Mój Jasio kochany!

* * *

Wezmę ja kwiateczek,
Położę go w dzbanek:
Co mi po kwiateczku,
Nie wraca kochanek!
Juże świta świt rany,
A nie jedzie,
A nie jedzie
Mój Jasio kochany!”

wczesny, do dnia, od świtu, a przeciwstawić mu słowa: *późny*, *wieczorny* i t. p. (*)

Skoro też słyszymy w rozmowie niewłaściwe użycie tego wyrazu, przeciwstawiamy mu zawsze powyższe słowa. Tak np. niechże kto w obecności naszej powie: „Bulgarowie stracili stu zabitych i rannych”, pytamy się wówczas: a iluż wieczornych lub późnych?

Pytania tego rodzaju wydają zwykle pożądaną skutek i nauka w ten sposób udzieloua w las nie idzie, ale usiłowania nasze, jako jednostki, w obec tyle rozpowszechnionego zła okazują się niewystarczającymi, czyli, mówiąc słowami Bogusławskiego, przyznać muszę, iż „jestem zasłaby, ażebym mógł połknąć tak nadęte żaby.”

Z uwagi na to postanowiłem tedy podnieść głos publicznie, upraszając czasopisma nasze, by zwracać odtąd raczyły troskliwą uwagę na wykazaną tu, a tak często popełnianą przez nie niewłaściwość; a lubo wiemy, jak trudno każdemu przyznać się do popełnionej winy i jak trudniej jeszcze poprawić się z mimowolnych błędów, spodziewałem się jednak godzi, iż tym razem głos nasz, ze względu na dobro najdroższej naszej spuścizny umysłowej, którą winniśmy bez jej uszkodzenia przysłym przekazać pokoleniom, nie pozostanie kaziem na puszczy.

Upraszamy też nasze zacne panie, którym czystość mowy polskiej miłszą jest nad powodzenie języków obcych, a zwłaszcza narzecza, niższego departamentu Sekwany, ażeby, unikając same powyższych błędnych wyrażen, przestrzegały jednocześnie, by w ich otoczeniu i obecności nie popełniano takowych.

Oddając prośbę naszą pod tak silną opiekę prasy i powierzając ją jeszcze silniejszej troskliwości płci pięknej (która, mówiąc nawiasem, umie zadawać bolesne rany, ale umie je też koić, łagodzić i leczyć), mamy niepłonną nadzieję, iż karcone przez nas niewłaściwości, w krótkim stosunkowo czasie znikną zupełnie z widnokąru i że nie będzie potrzeby czynić już uwag nad tem, jak mówić i pisać mamy: *ranny* czy *raniony*?

Henr. Aur. Lap.

WOLNY STRZELEC.

OBRAZEK Z OSTATNIEJ WOJNY FRANCUSKIEJ.

Wolny przekład z francuskiego.

Ah! wrzał w Pathay bój zażarty!
Sam Charette (**) swych dzielnych wiedzie;
Z bronią w ręku idzie w przedzie,
Za nim rwie się młódz jak czarty.

(*) Dla pełności dodajemy tu, iż blizkoznacznikami imiesłowu *raniony* są wyrazy: *zraniony*, *poranny*, *porąbany*, *skaleczony*, *okaleczony*, *okryty* lub *pokryty ranami* i t. p., którym przeciwstawić można słowa: *cały*, *zdrów*, *nieuszkodzony*, *bez rany*, *bez szwanku*, *bez obrażenia na ciele* i wszystkie powyższe poprzedzone przysłówkiem *przeczenianie*.

(**) Hrabia de Charette, generał rzeczp. francuskiej, syn słynnego ongi wodza Chouanów. W dniu 2

Franków garść, lecz w Imię Boga —
Kraju — łączą pierś do piersi;
Naprzód! wszyscy chcą być pierwsi,
Jak huragan spaść na wroga!

Choć dwanaście dział śmierć zionie,
Oni chłodno — broń do składu —
Jak na rewii, wśród kul gradu,
Idą naprzód po wzgórz skłonie.

Tam, do szczytu — kędy wieje,
Biały z czarnym znak Germana.
Hurra, hurra! już wygrana,
Wróg się miesza, trwoży, chwieje...

Blisko już... przeleca biegiem,
Lecz reduta w dymie cała,
Kartaczami zioną działa,
Strzelcy kładą się szeregiem.

Trup przy trupie.
Lecz któż pyta?
Inni biegną — bagnet błyska,
I choć wróg gromami ciska,
Już na wałach są... zdobyta!

Przy sztandarze tłumy tyle,
Że nie zliczysz — trudna rada —
Garstka strzelców w środek wpada,
Sztandar runął w krwi i w pyle.

A z nim razem strzelec młody,
Z kulą w piersi pełnej żaru,
Ah! nie wydrżać mu sztandaru:
Wziął go z druhów stem w zawody!

Dłoń już słabnie z serca biciem,
Oko błędnym ogniem błyska;
Lecz do łona znak przyciska...
On nie odda go i z życiem!

Z. G.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dalszy ciąg.)

Z pół zwierzeń Bernarda i Aliety, księżna знаła już ich niezadawalniające stosunki domowe, to też nie zadziwiła się bynajmniej, gdy pewnego dnia

Grudnia 1870 r. pod Pathay, dla zachęcenia swych ludzi, wziął sam karabin i pierwszy rzucił się z nim na pruską redutę, którą też zdobyto.

(Przyp. aut.)

pan de Vandricourt zwrócił się do jej powszechnie uznanej kompetencji w tej materii, prosząc o udzielenie mu rady w jego wyjątkowym położeniu.

— Kochana księżno — rzekł — wiesz już jakie było i jest nasze położenie. Czyniłem co tylko było w mej mocy, aby wyrwać żonę z tego jakby klasztornej życia, w jakim zamyka się z takim upodobaniem; ale darmo, nie chciała i nie chce go zmienić. Poddałem się temu, szanując jej manię... Ale niepodobna mi przecie zamknąć się z nią w jej celi, aby modlić się nieustannie do jej Boga, w którego nie wierzę, i ucierać nos naszej córeczce!

— Kochany panie — rzekła księżna — widocznie unosisz się gniewem.

— Nie przeczę, ale gniewając się jestem w swoim prawie, gdyż nie mam sobie nic do zarzucenia. Czyż-to nie jej wina, że najczęściej sam bywam w świecie i zmuszony byłem wrócić do dawnych klubowych nawyknień? a teraz płacze po kątach we dnie i w nocy... a że na nieszczęście mam dobre serce, więc te łzy jej zatruwają mi życie... nie mówiąc już o plotkach jakie wywołuje dziwaczne jej postępowanie. Jedni mówią żem zazdrosny, drudzy, że żonie mojej brakuje którejś klepki w głowie... I pytam ci się, księżno, czy może mi to być przyjemne?

— Doprawdy, dziwny z siebie człowiek, wicehrabio. W obecnym czasie, wśród paryżkiego świata, masz żonę nie szalejącą z nim razem i jeszcze się uskarżasz!... Mój Boże, jakżebym chciała widzieć cię choćby przez parę tygodni sprzężonego z milutką osobką, którą w zeszłym roku poznałam w Dieppe... o! ta była prawdziwą, najczystsza Paryżanką do szpiku kości... Mieszkała w tym samym co ja hotelu; nie mogłam jej się dość nadziwić. Jak tylko zadniało, słyszałam jak uderzała szpicrutą po korytarzu i niebawem wyjeżdżała konno ze swoją świtą, to jest z kilkoma podobnymi sobie zuchami, no i z mężem w dodatku... Powróciwszy, znów niebawem, jechała z odwiniętą nieco spódniczką na plażę, na połów ryb, gdy morze opadało, lub nareszcie do kąpieli. Wracała na śniadanie, ma się rozumieć ze swoimi adjutantami i widziałam jak dla wzmocnienia sił zjadała sałatę z ogórków, pieczeń z musztardą i leguminę z poziomkami. Wstawszy od śniadania szła strzelać do gołębi w *chooting*, ztamtąd do kasyna, gdzie polykała parę porcy lodów i przegrywała kilkadziesiąt luidorów; wyszedłszy z kasyna biegła do fotografa... Potem wyjeżdżała brekiem ze dzwonicami, zawsze wtowarzystwie owych panów, zatrzymywała się przed hotelem Pollet'em, gdzie zjadała trzy funty krewetek, a następnie obiadowała w zajeździe Arques... Ztamtąd znowu wracała do kasyna, gdzie odgrywała przegrane rano luidory, poczem przychodziła kolej na wieczór; spożywszy ją wpinała parę kwiatów we włosy, puszczała się walca i około trzeciej rano wracała tryumfująca do hotelu, zawsze ze swymi adjutantami, którzy wybladli i wycieńczeni oddychali za ledwie, ale już bez męża, bo ten pewnie umarł w drodze... I cóż powiesz, kochany wicehrabio, otóż mówią, że mimo to wszystko jest to uczciwa kobieta... No, jakże, czy chciałbyś mieć podobną żonę?

— Przynajmniej nie dałaby mi się nudzić — odrzekł śmiejąc się.

— Otóż jakie to są dzisiejsze młode kobiety! — mówiła dalej księżna — bo sam wiesz dobrze, iż ta bynajmniej nie jest wyjątkiem i ty narzekasz, posiadając perłę najczystszej wody, kobietę rozumną, dowcipną, wysoko ukształconą, poważnie

myślącą i której jedyną wadą jest to, że jest jakby świętą... Być może, iż pod tym względem jest nieco przesady... ale tak bardzo cię kocha, iż gdybyś chciał zadać sobie trochę pracy, przekonałbyś ją z łatwością... Nie chcesz?... brak ci wytrwałości?... Dobrze, więc ja podejmę się tego!

Pan de Vandricourt pocałował dwukrotnie podaną sobie rękę księżnej i odszedł.

Wierna przyrzeczeniu, księżna de Castel-Moret zaraz nazajutrz udała się do pani de Vandricourt. Znalazła ją bardzo zniechęconą, znękaną, wątpiącą o samej sobie, słowem w najodpowiedniejszym usposobieniu do słuchania rad a nawet napomnień.

Księżna przedstawiła jej łagodnie, że chęć moralnego podniesienia męża, jest zapewne nader chwalebna i zacna, ale i bardzo drażliwa zarazem, źle więc robi, śpiesząc się z tem zbyt. Zbrakło jej niezbędnej do tego wytrwałości i giętkości, nie umiała korzystać z odpowiednich chwil i mąż spostrzegłszy się stawia opór i wymyka się z pod jej wpływu. Taki zatwardziały światowiec, sceptyk do szpiku kości, psuty, zakochany w bulwarach, nie może przejąć się tak nagle jakby za dotknięciem czarnoksiężkiej laski, poważnym umiłowaniem domowego ogniska, a tem mniej religijnymi zasadami. Należało zrozumieć to odrazu, że tu prawdziwego cudu dokazaćby trzeba. Wprawdzie Alieta zdolniejszą jest do tego, niż ktokolwiek inny, ale aby tego dokonać trzeba przedewszystkiem nigdy nie odstępować męża, o ile to jest możliwym iść obok niego dłoń w dłoń, aby tym sposobem dać mu zarazem uczuwać i powab i hamulec... A nareszcie aby powoli obudzić w nim inne upodobania, zacząć najpierw podzielać uprzejmie jego nawyknięcia, aby go nie zrażać i nie odstręczać.

Zgnębiona długimi zawodami, osłabiona staczaną tajemnie walką, prawie tracąca rozum, na samą myśl, że może zupełnie utracić serce męża, pani de Vandricourt rzuciła się rozpaczliwie na nową drogę, wskazywaną przez księżnę. Pierwsze stawiane na niej kroki wiele ją kosztowały. Przypomniała sobie, iż gdy po przyjściu na świat córki, naradzali się jak urządzić swe codzienne życie, mąż okazał się bardzo niezadowolony, iż odmówiła towarzyszyć mu w konnych, porannych przejażdżkach. Uważała sobie za obowiązek wyrzec się przyjemności, którą lubiła namiętnie, aby, jak dawniej w małym kościółku w Varaville, tak i obecnie bywać mogła codziennie na rannej mszy, u św. Augustyna. Nie było to dla niej jedynie spełnieniem religijnego obowiązku, ale zarazem wspomnieniem nader drogiem jej sercu i wyobraźni. Była to godzina w której klęcząc w kościele z głową wspartą na rękę, odczuwała w modlitwie wszelkie wspomnienia spokojnych lat ubiegłych, chwila w której w wyobraźni jej ukazywały się ścieżki wiodące przez pola z pałacu do kościoła, w której zdawało jej się, że oddycha wonią pól, słyszy szum starych jodeł na cmentarzu. Czując jednak, że zbłądziła, zapragnęła błąd ten naprawić. I dlatego zaraz nazajutrz po odwiedzinach i upomnieniach księżnej, powiedziała mężowi, iż zatekniła do jazdy konnej i pragnęłaby wyjeżdżać z nim co rano.

Wpatrzył się w nią baczenie, poczem rzekł ujmując jej rękę:

— Sprawiasz mi tem wielką przyjemność, Alieto, bo dumny jestem z ciebie i pragnę pochłubić się tobą przed światem.

Podobne słowa, tak rzadkie w ustach męża, a szczególnie tak nieszafulającego czułości słówka-

mi jak pan de Vandricourt, rozkosznym echem odbiły się w sercu młodej kobiety, zachęcając ją zarazem do nowych poświęceń.

Od tej więc chwili nie zamykała się już w domu, przyjmowała zaproszenia, w zimie często bywała w teatrach, w lecie na wyścigach, nie stawiając już tak nieprzeartego oporu prądowi świata. Aby ją zachęcić do wytrwania, Bernard także zmienił nieco swoje nawyki, zaniechał niektórych osobistych rozrywek i przyjemności i często zaniedbywał klub, aby towarzyszyć żonie. Życia ich zbliżyły się i zjednoczyły z sobą, w łączącym ich związku nastąpiło jakby pewne odnowienie, codzienne stosunki ożywiały wzajemną wdzięczność i serdeczną wesołość: były to bez zaprzeczenia najszczęśliwsze dni w życiu pani de Vandricourt.

II.

Wielkoświatowe życie paryżkie podobne jest kołom maszynowym, zaczepiającym się i chwytającym wzajemnie; raz dawszy się unieść jego wiry, nader trudno nie oddać mu się zupełnie. I pani de Vandricourt uczuła niebawem zgubne oddziaływanie tego nieprzeartego prądu, w następstwie którego zaproszenia wyrażają się jedne z drugich, stosunki mnożą się do nieskończoności, zobowiązania i uciechy wiążą się z sobą wzajemnie, sposobności do nich wyrastają jakby z pod ziemi. W niedługim czasie uczuła najpierw, że zniechęceniem a wkrótce potem z przerażeniem, że czas, swoboda, osobistość jej nawet ją odbiegły, że nie należała już do siebie ale do świata.

Lecz nie to tylko, w nowym jej życiu przejmowało ją obawą i smutkiem. Połączona teraz była z tem hałaśliwym towarzystwem, które samo siebie nazywa uprzemnie *tout-Paris* i uważa się za jakichś wybrańców, dlatego, że wszędzie ich tylko widać, ich tylko słychać, o nich tylko mówią i mówią zawsze.

Na pierwszym zaraz wstępie, dziwnie musiało razić tę młodą kobietę, tak czystą Francuzkę z krwi, serca i wychowania, owa kosmopolityczna cecha, charakteryzująca coraz silniej społeczeństwo paryżkie. Wiadomo jak czynną rolę odgrywa w niem obecnie żywioł cudzoziemski. Niewątpliwie jest we Francji bardzo wiele tak cudzoziemców jak cudzoziemek miłych, pożądaných i godnych szacunku; ale jak widzimy tam bardzo często Anglików bez ceremonii wchodzących do teatrów, ubranych tak nieodpowiednio, iż z własnych ich teatrów wyprowadzonoby ich za drzwi, tak zarówno wielu cudzoziemców traktuje Paryż, jakby jakąś dwuznaczną miejscowość, w której można sobie pozwalać czego nie dopuszczanoby się u siebie i zabawiać się w negliżu. Taka bezceremonialność, niestosowna ekscentryczność, trywialne obejście, pogarda opinii, nie są francuzkimi wadami narodowymi, ale mogą stać się niemi skutkiem nieustannego napływu.

Ale nietylko ta tak charakterystyczna dążność naszej epoki, coraz gorzej oddziaływająca na narodowe przymioty (mówiąc nawiasem, Anglia lepiej umie ustrzeżać się tego) i wybitnie odbijająca w światowym życiu paryżkiem, drażniła wrodzone instynkta, pojęcia i uczucia Aliety. W miarę wtajemniczania się i głębszego poznawania wielkoświatowego towarzystwa, uczuwała się znużoną aż do wstępu powierzchowną paplaniną, tak łatwo podsycaną w Paryżu codziennymi wydarzeniami i zdającą się obniżać wszystkie umysły do jednakożego poziomu pospolitej mierności. Po dziesięć

razy na dzień i w dziesięciu coraz innych salonach słyszała jakiś skażony język, też same czepte plotki powtarzane i słuchane z gorączkową ciekawością, też same bulwarowe koncepta i szyderstwa, dowcipy zapożyczane z nowych sztuk teatralnych a niekiedy jeszcze wypowiedzianych odrażającym kawiarnianym szwargotem. Ani ślad czegoś nowego, pomysłowego, osobistego, nie przeblyskiwał w tem męczącym paplarstwie.

Patrzyła z ukrywanym zdumieniem na te tłumy światowe, zajęte wyłącznie ruchem, gwarem i uciechami i jakby rzucone na łup choroby św. Walentego, wprawiającej je od kolebki do grobu w drgające rzuty epileptyczne. Przypomniało jej to owe szatańskie, średniowieczne pląsy, tych ludzi skazanych do tańczenia aż do oddania ducha na cmentarzach kościołów, które sprofanowali. Zapytywała siebie jak przy takim rozszaleniu możnaby znaleźć czas na życie rodzinne i stosunki domowe, na pouczające czytanie, i kształcenie umysłu, podnoszenie się myślą w wyższe strefy ducha, nareszcie na przejście z życia do śmierci. Przerażała ją myśl, że i ją ruch ten porwać może swym nieprzeartym prądem, nie pozwalając odzyskać równowagi.

Jakże niewysłowiony wstręt ją ogarniał, ilekroć obecną była przypadkiem pewnym rozmowom, które skażenie smaku i rozluźnienie poczucia moralnego wprowadziło jako nową modę do salonów, ilekroć słyszała, naprzykład, kobiety wyższego urodzenia, swobodnie rozmawiające między sobą lub nawet z mężczyznami o ciekawościach fizjologicznych, o ukrywanym zepsuciu i nieprawościach, o potwornej rozwiązłości: słowem jak to powiedział poeta „o występkach nieznanym nawet piekłu.”

Smutek jej i oburzenie potęgowały się jeszcze, gdy pomyślała sobie, że tak we Francji jak i zagranicą, wyrokować będą o duchu i obyczajach francuzkiego społeczeństwa z tej próbki sztucznych wybrańców, z tej krzykliwej kosmopolitycznej mieszaniny, której zabawy, przygody, skandale i stroje, radują codziennie reporterów, wywołując zarazem szydercze śmiechy publiczności.

W obecnym czasie i w obecnym stanie umysłów we Francji, w chwili gdy przez jakiś rodzaj moralnej brawady, rozniecono w tłumach pospółstwa żądze i chuci już niedające się okiełznać, jakkolwiek niezajmująca się przeważnie polityką, pani de Vandricourt, widziała z przerażeniem, że najwięcej na widoku stojące wyższe sfery społeczne są pod tym względem najzupełniej obojętne i zajęte wyłącznie zabawą i uciechami. Zdawało jej się, że znajduje się na okręcie zagrożonym zatonięciem, a oficerowie jego zamiast, pamiętając oswym obowiązku, obmyślać środki ratunku, hulają i upijają się z osadą.

Najsmutniejszym było, iż uczuwała niepokój stopniowo budzący się w jej duszy. Życie tak płache, bezmyślne i bezgranicznie zmysłowe, dla nikogo zdrowym być nie może, złem więc było nawet dla istoty tak szlachetnej i czystej jak Alieta. Były chwile w których zdawało się jej, że w tym świecie tak różniącym się od niej, tak obcym i zamkniętym dla podnioslejszych myśli i ideałów, ona jest jakąś istotą osobliwszą, ekscentryczną, którą wyjątkowe wychowanie straciło może z prawdziwej drogi. Wiara jej nie była poważnie zachwiana, ale niekiedy wydawało jej się dziwnem, iż w tym wielkim tłumie stanowi wyjątkową jednostkę. I tak, nie ulegało zaprzeczeniu, że religia będąca dla niej rzeczą główną i zasadniczą, dla większości osób należących do jej świata, była

tylko rodzajem tradycji dobrego tonu i zwyczajem konwencyonalnym, który wychodząc w niedzielę z kościoła, zostawiało się na jego schodach aż do następnej znów niedzieli, a w ciągu tygodnia nikt już ani pomyślał o nim. Przez przestawanie z waryatami, najsilniejszy rozum może się uczuć wstrząśniętym, to też i Alieta pytała sama siebie z niewysłowionym przestachem: czy powoli i jej się nie udzieli otaczający ją sceptycyzm i obojętność.

Jednocześnie córka pani de Vandricourt podraستاła, co było powodem, że nietylko o siebie ale i o nią zaczynała się niepokoić. Jakże zdoła wychować ją według swego serca i zasad, tam gdzie powietrze samo nasycone było nietylko niewiarą ale i bezwstydem? W mieście, gdzie tuż przy drzwiach do szkół, a nawet pensji młodych dziewcząt, powystawiane były w wystawach sklepowych książki i sztychy, jakie dawniej znalazłby zaledwie w pokątnych księgarniach Genewy lub Brukseli?... Jak ustrzedz tę ukochaną dziecinę od tylu wstrętnych zetknięć, zgubnych przykładów i nieprzyzwoitych dwuznaczników, wypowiedzianych w salonach i przedpokojach, od zepsucia i ogólnej obojętności pod wyglądem moralnym?...

Chcąc uniknąć choćby jednego z tych niebezpieczeństw, Alieta powierzyła małą Joasię, wyłącznej opiece Wiktoryi Genest, starej bony, która ją wychowywała i którą sprowadziła z Varaville. Stara Wiktorya należąca do tej wygasłej już dziś rasy sług uczciwych, przywiązanych i gderliwych, prawie codziennie po południu prowadziła Joasię do parku Monceaux lub do Pól Elizejskich; aż pewnego dnia wróciła z tej przechadzki oburzona do najwyższego stopnia, przeciw tegoczesnemu światu i miała słusność za sobą. Powiedziała pani, że jedna z małych panierek bawiących się z Joasią, zobaczywszy jakąś panią, przejeżdżającą w powozie, odwróciła się nagle do nieco starszej przyjaciółki i wskazując na mijającą je, rzekła:

— Patrz, to koczkonod!

— Zkądże wiesz o tem? — zapytała przyjaciółka.

— Łatwo mi wiedzieć — odpowiedziała — bo to kochanka mojego ojca!

Komuż nie jest wiadomem, że podobne zdarzenia nader często powtarzają się w Paryżu pod rozmaitemi postaciami, co nie mogło wpływać na uspokojenie macierzyńskich obaw pani de Vandricourt.

Gdyby przynajmniej wśród tych trosk i utrapień, miała tę przynajmniej pociechę, że pozyskała zbawienny wpływ na umysł męża, że nastąpiła w nim choćby najmniejsza zmiana, najłżejszy zwrot w upragnionym przez nią kierunku, ale nic takiego nie miało miejsca! Wszelkie zatem jej ofiary były daremne; czuła, że jak dawniej, trwa niezachwiany w swej do rozpacz przywodzącej negacji i zimnej, sceptycznej filozofii. Widział dobrze to rozpręczenie społeczne, tak boleśnie raziące Alietę, nie pochwałał zepsucia i rozumiał niebezpieczeństwa, ale widząc złe, nie widział na nie lekarstwa. Żyjemy, mówił, w okresie upadku lub przeobrażenia, a tak w jednym jak w drugim razie po co walczyć daremnie z nieuniknionymi następstwami. Naturalnie, Alieta nie podzielała tego zdania i korzystając z poufniejszego obecnie stosunku z mężem, nie obawiała się już jak dawniej prowadzić z nim niekiedy rozpraw w tych drażliwych kwestiach. Lecz w takich razach pan de Vandricourt rozmawiał niechętnie a nawet niekiedy unosił się gniewem, jak człowiek nie chcący

być nawróconym. ani też aby podobna żarliwość zapanowała w jego domu.

Gdy pewnego dnia zaczęli rozmawiać o moralnym upadku niższych warstw społecznych, z jakimiś litościwą i miłosierną Alieta często miewała stosunki, powiedziała śmiało: że na nieszczęście, zepsucie i szerzący się wśród nich materializm przechodzi tam od klas wyższych, najgorszy dających przykład.

— Masz zupełną słuszość—odpowiedział Bernard— i doprawdy nie wiem, gdzie zajdziemy idąc tym torem; straszne może gotują się przewroty... Ale że zaradzić temu niepodobna, lepiej więc nie myśleć o tem.

— A więc tak niby jak Ludwik XV? — mówiła Alieta. — Ale jestżeś pewny, mój drogi, że nie na to zaradzić nie można? Czyż sądzisz, że obalenie wszelkich wierzeń religijnych, wszelkiej nadziei po za grobem, wszelkiego uciekania się do Boga, nie jest głównym powodem tej gorączkowej i wyuzdanej żądzy rozkoszy natychmiastowych i uciech materialnych, których zgubnych następstw sam się obawiasz?

— Jestem o tem najmocniej przekonany — odpowiedział — ale cóż z tego? do czego zmierzasz? Czyż to moja wina, że ziemia się obraca? Czyż moja wina, że niewiara rozwieliła się i ogarnęła wszystko od szczytu do podstaw? Czy chcesz dać mi do zrozumienia, że powinienem służyć za przykład ludowi?... ale jakież i czego dam mu przykład, skoro w nic nie wierzę?... chyba przykład obłudy i świętokradztwa?...

Alieta zbladła bardzo i nie odpowiedziała.

— Kochana Alieto — mówił cierpko — szamoczesz się z niepodobieństwem... Jesteś rzeczywistą chrześcianką, w społeczeństwie będącym niem tylko z nazwy... Nie zdołasz przecież zreformować obecnego czasu... nie zdołasz przecież zmienić Paryża XIX wieku, w Port-Royal-des-Champs w którym zostałaś matką Aniela. Proszę cię więc, wyrzecz się podobnych zamiarów... wyrzecz się nadewszystko, błagam cię, chęci nawracania mnie do twoich wierzeń.. Dziwna ta mania nie daje ci spokoju, a mówiąc szczerze, mnie drażni i męczy... bo czuję ją w każdym twojem słowie, w całym postępowaniu twojem... Wszak pod tym względem jasno objawiłem przed ślubem naszym moje przekonania, stryj twój zaświadczyć to może. Uczyniłem więc wszystko co było w mocy uczynego człowieka, aby ci żadnych pod tym względem nie zostawić złudzeń i oszczędzić zawodu będącego głównym, a chcąc być sprawiedliwą, sama przyznasz, jedynym źródłem twoich smutków i boleści... Wyrzecz się więc raz na zawsze tego marzenia... nie myśl o tem wcale... a zobaczysz jak spokojniej odetchniemy oboje...

Alieta milcząc wpatrywała się w niego błagalnym, łzami zroszonym spojrzeniem; wtedy przeważała w nim wrodzona jego dobroć i rzekł siadając przy niej:

— Uspokój się, droga moja, może nie mam słuszości... pod względem nawrócenia nigdy o niczem ani o nikim zwątpić nie można. przypomnij sobie pana de Rancé... Wszak zanim został reformatorem Trapistów, był takim jak ja światowcem i krańcowym sceptykiem... a jak nazywano wówczas wielkim libertynem... a przecież w końcu został świętym prawie... Co prawda, straszny powód popchnął go na tę drogę... Wszak wiesz co spowodowało jego nawrócenie?

Prześcagała skinęła głową.

— Otóż powróciwszy do Paryża po kilkodniowej nieobecności... biegnie do swej ukochanej, je-

śli się nie mylę, pani de Montbazon, wchodzi bocznymi schodami od których klucz posiadał i pierwszą rzeczą jaką zobaczył wszedłszy do pokoju, była leżąca na stole głowa kochanki, na której doktorzy robili sekcję.

— Z radością powitałabym śmierć, gdybym wiedziała, że głowa moja taką władzę mieć będzie! — zawołała Alieta, z tak szczerym zapalem, że słowa te jej boleśnie odbiły się w sercu męża. Uśmiechnął się jednak i rzekł głaszcząc ją po twarzy:

— Co za szaleństwo!... taka śliczna główka nie potrzebuje umierać, aby dokonać cudu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

W tym tumultie niepodobna było szukać Horna i Żwan stał na uboczu, patrząc na tę tragedję... Wtem widzi, jak Lniski z okrwawionym toporem w garści wlece jakiegoś Szweda ku niemu, dzierząc go silnie za kark.

— Oto masz Horna! — rzekł Lniski i rzucił Szwedem o ziemię.

— Żywy?

— Żywy, jeno poraniony, ale mu nic nie będzie.

Jakoż Horn leżał prawie bez duszy na śniegu, cały krwią zalany i zmięty strasznie.

— Któż go tak pokrwawił! — spytał Żwan.

— A nikt. Padł pod konia, któregoś zabił wystrzałem i stratowali go. Nic mu nie jest, jeno chłop go zaciął trochę kosą w piersi.

Tymczasem chłopci już wycięli Szwedów z krete- sem. W rzeczy samej, jak przepowiadał Boruta, ani jeden zwiastun klęski się nie znalazł. Wycięto wszystkich do nogi, oprócz Horna, którego ocalało zabicie konia. Padł pod konia i leżał tak przez cały czas rzeki. Był tylko mocno stratowany kopytami koni i nogami ludzi, rękę miał jedną złamaną, w piersi trochę zacięty, ale zresztą żywy i cały. Teraz chłopcy, wyciąwszy Szwedów, wzięli się do ich obdzierania. Zdobył w ogóle była znaczna. Wzięto trzydzieści kilka zdrowych koni, bo reszta była zabita lub raniona, kilkadziesiąt szabel, tyleż pistoletów, siodeł, kulbak i mnóstwo pieniędzy, srebrnych naczyń i sprzętów, pochodzących widocznie z rabunku. Trupy szwedzkie strasznie posiekane, krwawe, nagie, wstręt czyniły; więc też, jak tylko wszystką zdobycz zabrano, ruszono zaraz za przewodem Lniskiego do owej wioski, gdzie Szwedzi dla siebie prowiant nakazali. Chorego Horna wsadzono na konia i tak śmiejąc się, śpiewając, opowiadając krwawe epizody tej rzezi, przybyli do tej wioski.

Tu w rzeczy samej znaleziono obfite zapasy chleba, słoniny, gorzałki i kilka zabitych baranów, oraz siana i owsa dla koni. Było to raczej leśnictwo jak wioska. Trzy czy cztery chaty kryły się wśród czarnego boru. Rozłożono się wygodnie i odpoczywano po całonocnych tarapatach, niewy- wczasie i bitwie, która zresztą wojska Żwana nie kosztowała. Kilku ludzi było lekko ranionych

szablami, kilku potłuczonych przez konie, to i wszystko.

Hornowi, jak tylko przy pomocy Lniskiego, który znał się na ranach dobrze, opatrzone jego skaleczenia, zaraz Boruta, który do tego był jedyny, poniósł propozycję wymiany na kasztelanę. Zrazu Szwed wzdragał się, klął na czem świat stoi, rzucał się jak opętany, groził pomstą niezwyčajnego, jak mówił, Karola Gustawa.

— Do nogi was wytępiamy za waszą zuchwałość! — wołał w okrutnej pasji — cały gościniec od Krzepic do Kłobucka ubierzemy w szubienice i wywieszamy was co do jednego.

— Ot niedorzeczności gadasz, mości panie komendancie — odpowiadał mu na to Boruta— i ja jeno przypisuję to febrze od ran i alteracji twojej. Nim ty nas wywieszasz na drodze od Krzepic do Kłobucka, to my ciebie wprzód obwiesimy ot, na tej suchej wierzbie, jeśli nie przyjmiesz naszej planty.

— Obwiesicie mnie?

— Jak Bóg na niebie, tak obwiesimy. Będzie to pomsta i kara za wszystko coś uczynił.

— Ejże mości szlachcicu, nie zdzierzysz tego.

— Zdzierzę, jako żywo!

— A któż tu tych buntowników jest generał?

— A to waści nic do tego: kto jest, to jest...

— A może ty?

— A może i ja.

— To niechże cię piorun trzaśnie! — wołał Szwed, ciskając się jak szalony.

— Nie sierz się i nie wymyślaj, bom ja też nie z gliny, jeno ze krwi. I jeżeli dysymuluję z tobą, to jeno dlatego, żem mocniejszy. Ot co tu gadać, dasz za siebie kasztelanę, czy nie?

— A jak nie dam?

— To będziesz wisiał za dwa pacierze, jak mnie tu żywym widzisz.

— Jakże to! cóż to za nowy obyczaj jeńców wieszać? Tego nawet poganie, Scytowie dzicy nie czynią...

— Ale wy czynicie i my też wam odpłacimy się jeno pięknem za nadobne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ż pod naszej strzechy.

Treść: Trzy sprawy. — Zima. — Klęski mrozów. — W Afryce. — Ameryce. — W stepach Meksyku. — W południowych stronach. — Karnawał. — Bal polski w Petersburgu. — Jego świetność. — Smutne szranki. — Gniew księcia kanclerza. — Jego strona tragiczna i komiczna. — Słowa gorzkiej prawdy. — Środki pojednania. — Szyderstwo z nich. — Nowe pomysły humorystyczne. — Krzykała. — Jego pogląd. — Fortele wojenne i dyplomatyczne. — Bezskuteczność środków przedsięwziętych. — Konieczność zjednoczenia Słowian. — Dwóch naszych spekulantów literackich.

W liczbie spraw poruszających obecnie kontynentem niemal całej Europy, są trzy niby małe, nie znaczące, a jednak zwracające na siebie powszechną uwagę.

Pierwszą z nich jest mróz dawno niebywały, dręczący nietylko naszą biedotę w izbinach, do-

piero w południe ogrzewanych przy gotowaniu obiadów, ale wywołujący narzekania na całym Południu a nawet w Afryce, nieznającej prawie śniegu a cóż dopiero temperatury na zero spadającej. W Ameryce jest także zima niesłychanie ostrą. W Jawie i Dakocie zdarzają się mrozy rżące ścinające w termometrach. Rio Grande i inne rzeki na Zachodzie, mimo nader bystrego prądu swego, stanęły. Straszliwie też cierpią od zimna niezliczone trzody na stepach, począwszy od gór Montany, aż do Teksasu i Nowego Meksyku, setkami tysięcy giną biedne zwierzęta, nie znajdując pożywienia, wody i schronienia przed zimnem. Pomarańczarnie w krainach południowych prawie do szczytu zniszczone. Wymarły równie inne drzewa i zasiewy ozime, plantacje trzciny cukrowej i t. d.

Do drugiej sprawy należy karnawał niezwykle długi i rozweselony, w którym obok balików czysto prywatnej natury, występują bale ważniejsze go zakroju.

Bal polski w Wiedniu, całym swym układem i świetnością zgromadzenia Wiedeńczyków w zdumienie wprowadził. Obecnie podobny bal odbył się w Petersburgu, o którym Petersburski Listok także zrobił sprawozdanie.

„Ze wszystkich balów publicznych, urządzanych u nas na cele dobroczynne, podczas sezonu zimowego, bal polski odznacza się zawsze nie tylko licznym udziałem publiczności, ale także i tą przyjemną, niewymuszoną wesołością, które nie mają nic wspólnego z balami i zabawami urządzanymi przez inne towarzystwa, francuzkiego niewylączając. Na balach polskich tańczą z życiem, gdyż Polacy pod tym wyglądem wyróżniają się charakterystycznie. Przybывая na swój bal, nie włóczą się po sali parami lub w pojedynkę, nie poziewają udając znudzonych, ale odrzuciwszy na bok troski, zapominają o dolegliwościach codziennego życia i oddają się wesołości duszą całą. Trzeba było być w klubie szlacheckim na balu polskim, żeby powziąć wyobrażenie jak potrafią Polacy przepędzić czas przyjemnie.

„Przybyliśmy na bal po północy, czyli w chwili najwyższego rozwoju zabawy. Ciągnąc po schodach pośród szeregów galowo przybranej służby, słyszeliśmy już szum rozmowy prowadzonej przez tysiące osób.

„Skoro znaleźliśmy się w pierwszej sali klubu, skoro rzuciliśmy wzrokiem po tłumach dam strojnych, a jedna od drugiej piękniejszych, skoro powiedliśmy oczami po towarzyszącej im młodzieży i spostrzegli ową elegancję i grzeczność, z jakimi gospodynie balu zapraszały wszystkich do przyjęcia chłodzących napoi, ciast, cukrów, owoców i bukietów z żywych kwiatów, tośmy w tej chwili zrozumieli, że tu nie ma miejsca na nudy, panujące niestety, prawie na wszystkich naszych zebraniach publicznych.

„Wielka sala błyszczy tysiącami świateł a w niej roi się głowa przy głowie i tysiące białych jak śnieg sukni. Wszystkie miejsca, ławki i galerie natłoczone, po bokach, stoją poroźstawiane stoły.

Gdzie spojrzeć, wszędzie prześliczne stroje, różnorodne materye i kwiaty, czarne fraki, mundury inżynierów, oficerów gwardyi i wyższych dostojników. Wtem odzywają się ogniste dźwięki mazura i trzysta przeszło par rusza w tany. Nietańczący zamienili się w widzów, zachwycających się widokiem prawdziwie pięknym. Mazur trwający prawie dwie godziny, z galerii przedstawił się cudo; często brała wielka ochota bić niektórym

parom brawo! Gospodyniami balu były: hrabina Rzewuska i Potocka, osób wszystkich znajdowało się przeszło trzy tysiące, a zabawa przeciągnęła się do godziny piątej rano. Znajdowali się na nim nie tylko panowie i panie w Petersburgu mieszkający, ale z Królestwa Polskiego, z Galicji, Wiednia i Berlina, umyślnie na to zebranie przybyli.

Z tych świetnych salonów szumiących wrzawą karnawałowej wesołości, iskrzących się luną światła, wdzięku i drogich kamieni, ożywionych tonami tanecznej muzyki... przejdziemy w smutniejsze nieco szranki... gniewu p. Bismarka na naszych braci w księstwie Poznańskim zamieszkujących.

Historja to tragiczna i tak jest traktowana w sejmie i prywatnych kółkach, bo gdzie idzie o poniewieranie prawa, tam rzeczy lekceważyć nie można. Głębiej jednak w niej rozpatrzysz się, z okropności swej wiele traci a nawet przybiera barwę komiczną, przez samych Niemców z zaperzenia Kanclerza wyśmiewaną. Niebrakło więc i poważnego traktowania przedmiotu z przysypką gorzkiej prawdy jak piolun, wywołującej rumieniec wstydu nawet u najwięcej słuźalczych.

„Rozprawy są tu niepotrzebne, rzekł poseł Wierzbński, bo wiadomo, że większość da wszystko rządowi co zażąda. Krzywdzeni wiedzą, że tu opór bezskuteczny, ale nie zrzekają się prawa postawienia pod pręgierzem rozsądnego samolubstwa, który się targa na najwyższe dobro człowieka i dokonywa z cynizmem nieznanym nawet w najsroźszej starożytności. Jest to dalszy ciąg rzezi wyprawianych od IX do XII w. nad Łabą i Odrą i krwawych popisów na Żmujdzi jeszcze na początku XV w., kiedy światło wiary chrześcijańskiej już przeniknęło za Niemen. To nadużywanie siły fizycznej jest najlepszym dowodem niemocy sił duchowych, bezsilności a nawet niższości cywilizacji, która w pysze swej przypuściła, że dosyć będzie jej tylko zbliżyć się do cywilizacji tubylców, aby całe społeczeństwo rozbić i roztopić w sobie. Jest to następstwo szkarady czynów w przeszłości, które ciągle jak polip odradzać i rozrastać się muszą. Człowiek czy społeczność, albo jest człowiekiem i szanuje prawa innych, albo zaczawszy je gwałcić, wyzuwa się z człowieczeństwa. Kto niszczy człowieka wokoło siebie, ten w końcu musi go zniszczyć i w sobie.”

Był to głos poważny i dobrze prawdą przypieprzony, na wielu niemałe zrobił wrażenie, a gdy rozważano inne projekta, jeden z posłów Raucha oświadczył, że pojednanie Polaków z Niemcami w Poznańskim, tylko przez wykonanie nowego prawa germanizacji, przyspieszonym zostanie.

Śmiechem wielkiej części obradujących, przyjęto ten nowy pomysł jednania braterstwa i uczu przyjacielskiej życzliwości, i w tym humorystycznym ferworze, część sejmujących szanujących godność swoją i społeczną, zaraz rzuciła się do tworzenia coraz nowszych środków, mających niby zapobiedz dalszemu, niebezpiecznemu szzerzeniu się polskości w Wielkim księstwie Poznańskim. Zażądano więc, aby dzieci polskie nie były karmione ani przez matki, ani matki polki, tylko żeby je wykarmiano mlekiem krów niemieckich. Dla bogatszych, mamki Niemki dostarczać będzie państwo nienależące do ultramontanek i nieumiejące inaczej mówić jak po niemiecku. Wszelkie pokusy nauczania mamki po polsku, lub tajemne karmienie dziecięcia piersią Polki, uważane będzie za

zdradę stanu, jak również szczepienie ospy limfą nie pochodzącą z krowy lub dziecka czysto niemieckiego.

Inny wreszcie brnąc dalej w tem humorystycznym szyderstwie, doradza wymyślenie prawa na wstrzymanie przekładów z literatury polskiej na język niemiecki, które w ostatnich czasach zalały targ księgarski.

Gdy rozważał to wszystko, nagle stanął tuż przy mnie jeden z wielkich krzykałów, ale ze zdrowym na świat poglądem i w kilku słowach domyśliwszy się o co idzie, zawołał rzucając się na kark:

— Śmieję się, mój bracie, z całej tej gmatwaniny, z taką wrzawą ścierającej się w kolumnach prasy peryodycznej. Czyż sądzisz, że ten, który ją wywołał, nie pojmuje całej jej błahości i nie śmieje się w ciszy swego ducha z zajmujących się nią poważnie, jako dziełem wielkiej niesprawiedliwości?

W walce każdej czy w salonach dyplomatycznych, czy na polu huczącym armatami, wszelkie fortele czasem najdziwniejsze, wielką odgrywają rolę. Otóż i kwestya z takim dziś oburzeniem słusznie przyjmowana, niczem więcej nie jest tylko owym fortem mającym kogoś podejść i w błąd wprowadzić. Podobnie osądził ją i zmarły Aksakow, zapytując w swej Rusi: kogo tu pan Bismark chce oszukać? Jest on tu podobny do zręcznego predyktora, który aby móżdż pod kapelusz podsunąć pomarańczę w miejsce ziarenka grochu, zwraca wszystkich uwagę na punkt w suficie wskazany, a podczas tego przemiany pomarańczę dokonuje.

Wreszcie choćby i tak nie było, to, mój bracie, dłużej klasztoru jak przeora a środki germanizacji nawet tak brutalne jak projekt stanowi, nie lat ale wieków potrzebują, aby owoce pożądane wydały. Nacisk Niemców na dziedziny Słowian trwa już od trzynastu a nawet więcej wieków i to wśród strasznych rzezi w stal zakutych Germanów, idących niby z krzyżem w rękę przeciw nam niemal pogańskim ludom Słowian. Mimo to dziś jeszcze w pobliżu Elby znajduje się kilkanaście osad, których mieszkańcy między sobą używają języka swoich praojców i parękroć sto tysięcy Serbów utrzymujących wiernie swą słowiańską narodowość.

Bądź więc spokojny o Poznańczyków; jeżeli zginą to z własnej winy, ale lud pozostanie i ten zjeść się nie da. W Ozechach wszystko co wyżej nad poziom wytchnęło głowy, utonęło w falach niemieczyzny, a dźwignął Czechy lud i ten w nich życie rozwija. Większe miłosierdzie Boże jak złość ludzka! Prąd dziejów płynie z siłą niczem niepowstrzymaną, zjednoczyły się Włochy, Niemcy, obecnie przychodzi kolej na Słowian, a zjednoczeniu temu nic nie przeszkodzi, nawet geniusz wielkiego Kanclerza, choćby corocznie rzucał miliony marek na wykupno ziemi z rąk polskich posiadaczy.

— Amen! — domówiłem, a mój krzykała dodał:

— Tak mój bracie, Amen, stanie się to jak mówię, byleście w potędze swego ducha wytrwali, byleście szczególnie wy literaci, mający przywilej przemawiania do społeczności, byli ludźmi przekonani a nie przekupniami swoich zdolności, jak ów jeden z naszych literatów, który przyjąwszy zaproszenie do współpracownictwa w piśmie prowincjonalnym, prosił tylko o wskazówki jak ma pisać, czy na żydów czy przeciw nim, czy Niemców mieszać z błotem, czy bronić ich przed napaścią.

Gdy zaś innemu zarzucono sponiewieranie niesprawiedliwe niby krytyczne, dzieła niemałej wartości, odrzekł z najzimniejszą krwią:

— Mój kochany, zapłać mi tak suto, jak za to ja zostałem zapłacony, to dwa razy jeszcze lepiej sam siebie sponiewieram, a ty chcesz abym kogoś oszczędzał.

Także mi facet!

KORRESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Marca 1886 roku.

Karnawał zbliża się do końca, nie pora już mówić o strojach balowych, dla osób jednak, któreby chciały odświeżyć ubranie, przytaczamy tu ozdobę powszechnie dziś przyjętą w Paryżu. Jest to długa na łokieć gierlandka, zakończona z jednej strony małym, z drugiej większym bukietem. Mały przypina się do prawego ramienia, ztąd gierlandka przechodzi ukośnie przez stanik i kończy się z lewego boku, przytwierdzona do spódniczki drugim bukietem, pomieszonym z puklami wstążki. Gierlandki te robią z małych różyczek, *roses pompons*, z fijołków, z kwiatu ponsowej geranii i t. p. Do ubrania głowy, używane powszechnie egretki z takichże kwiatków. Na mniejsze wieczory lub do teatru, tak mężatki jak i panny noszą egretki ze wstążki kolorowej, szerokiej na dwa centy. Takie egretki z czarnej aksamitki, mieszają z dżetem, lub przepinają złotymi szpilkami.

Byliśmy w tych czasach w akademii francuskiej, na uroczystym przyjęciu, Ludowika Halewego, jednego z pierwszorzędnych dziś powieściopisarzy.

Paryżanki, przez uszanowanie dla miejsca i nowoprzyjętych członków, ubierają się bardzo świetnie na tego rodzaju wystąpienia, zwłaszcza że oszklona kopuła wielkiej sali, pozwala widzieć najdokładniej, każdy szczegół ich stroju. Na godzinę przed rozpoczęciem odczytów, wszyscy zajmują swoje miejsca, jest zatem dosyć czasu do przypatrzenia się pięknym sukniom i kapelusom. Przytoczymy tu co nam szczególnie wpadło w oko.

Uważaliśmy wiele sukien pekinowych, w węższe lub szersze pasy. Strojniejsze z nich całkiem jedwabne, w pasy aksamitne, lub przerabiane w różnokolorowy deseń; mniej strojne z miękkiej tkaniny wełnianej, przerabianej jedwabiem. Spódniczka bywa zazwyczaj w pasy, na wierzch zaś idzie tiunika gładka w odpowiednim kolorze, stanik zarówno gładki. Dla osób wysokich i szczupłych, pasy dają się w poprzecznym kierunku, dla pełnych i niezbyt wysokich dają się zwykle w podłuż.

Do najświetniejszych należała suknia z materii *ottomane* w szafirowym kolorze.

Spódnica mocno przyfałdowana w tyle, miała przód szeroko rozarty; przez otwór wyglądała druga fałszywa spódnica z materii w srebrnym odcieniu w szafirowe poprzeczne pasy, przerabiane w deseń. Z obu stron wierzchnia spódnica przytwierdzona była rzędem liści naszywanych szafirowymi paciorkami. Stanik do tego obcisły, z baskiną i karoczką, miał przody szeroko otwarte w gó-

rze, podłożone plastronem w poprzeczne pasy. Kołnier stojący z tejże materii i takiej wyłogi u rękawów dopełniały ubrania. Kapotka z tiulu szafirowego w rzucik, z odwiniętym rondkiem aksamitnym miała wysoką egretkę z jasno popielatych piórek w srebrnym odcieniu.

Drugie niemniej strojne ubranie, składało się ze spódnicy w wielki deseń z różnokolorowych makówek i liści. Na to spadała tunika z gładkiej materii w stalowym kolorze: tunika ta tworzyła z przodu fartuszek, ścięty w ząb jak róg chustki, z prawej strony przyczepiony do stanika; z lewej tunika przechodząc do tyłu, spadała dość długo w fantastycznych podpięciach. Fartuszek zdobiła piękna pasmanteryja, przerabiana stalkami. Stanik popielaty z karoczką, przybrany również pasmanteryją, miał przody szeroko roztwarte, pod spód szła długa kamizelka z materii w deseń. Dopełniał ubrania kapelusik popielaty, zahaftowany stałą, przybrany egretką z piór białych.

Trzecia suknia z materii w kolorze wydrowym, miała spódnicę prostą, mocno nafałdowaną w tyle. Przód spódnicy, oddzielony był od boków dwoma słupami aksamitnymi w ciemniejszym odcieniu. Przez cały ten przód, przechodziła w małych odstępach frendzla z paciorem szklanych, naszyta w drabinkę między dwoma słupami. Stanik otwarty z baskiną miał wyłogi aksamitne i plastron naszyty frendzelkami. Kapelusik z tiulu brązowego zasiany w rzucik z paciorków, przybrany egretką z piór w kolorze złotawym, pięknie dopełniał ubrania.

Z pomiędzy sukien wełnianych, jedna szczególnie zwróciła uwagę naszą, popielata w białe paski jedwabne, pomieszana z gładką popielatą tkaniną. Spódnica w pasy, dane w poprzecz, ułożona była z tyłu w grube fałdy. Na to spadała tiunika gładka, otwarta z lewego boku, tworząca na przodzie długi zaokrąglony fartuch, w tyle puff niezbyt rozniesisty. Forma stanika odznaczała się nowością. Był to rodzaj kaftanika, z baskiną porozcinaną w zęby. Plecy przystawały do figury, otwarte przody puszczone były lekko. Pod spód szła kamizelka w pasy białe poprzeczne; otwarta w górze, nakształt kamizelek męzkich. Przez ten otwór widać było koszulkę z fularu *surah*, zaprasowaną w fałdy, w śmietankowym odcieniu. Przód tej kamizelki spinał się na trzy małe, złote guziczki. Kapelusik okrągły popielaty z białym piórem, ładnie dopełniał ubrania.

Za tydzień rozpoczyna się w wielkich magazynach tutejszych wystawy wiosennych i letnich towarów; niektóre nowości pokazują się już dla zachęty, równie jak się tu i owdzie, dają widzieć szparagi i poziomki algierskie. W jednym z magazynów bulwarowych (*aux trois quartiers*), widzieliśmy lekkie tkaniny wełniane, w rodzaju kanwy, różniące się od przeszłorocznych tem, że są przerabiane w różnokolorowe jedwabne pasy. Do takiej spódniczki dodaje się zwykle tiunika gładka; stanik również gładki na kamizelce albo plastronie w pasy.

Kanwa taka w kolorach szarym lub popielatym, ma pasy poprzeczne jedwabne szerokie na dwa centy, pomiędzy nimi idzie pas przerabiany w turecki deseń różnemi kolorami. Uwaliśmy też kanwę w śmietankowym odcieniu, w pasy tureckie, śliczne to ubranie do teatru lub na wieczór.

Wpadła nam także w oko, kanwa czarna bardzo klarowna, przerabiana w rzucik z liści lub kwiatów czarnych. Ten rzucik obwiedziony dżetowymi paciorkami, bardzo ładnie wygląda.

Rękawiczki noszą zawsze nadzwyczaj długie;

do krótkich duńskich dodają szeroką koronkę irlandzką, ściągniętą w górze na wąską wstążeczkę.

Wielkie magazyny, wystawiały niedawno bieliznę różnego rodzaju. W stołowej bieliznie zwróciły uwagę naszą obruski i serwety z przerabianym szlakiem ponsowym i wystrzępioną frendzlą zamiast obrębką. Niektóre z nich mają brzeg szeroki naśladowujący kanwę; na tym można haftować deseń bawełną ponsową. W razie gdyby nie było takiego brzegu, kładzie się na wierzch zwykłą kanwę, i wyciąga gdy szlak ukończony. Na serwetach, cyfra złożona z dwóch wielkich liter, haftuje się w pośrodku, na obrusku cyfra idzie nie w rogu, ale w środku zaraz nad szlakiem.

Widzieliśmy też ładne serwetki okrągłe, całe zahaftowane ponsową lub różnokolorową bawełną, kładą je na talerz lub półmisek pod ciastka. Serwetki te robią zwykle na etaminie.

Najmodniejsze też stopy do okien, haftowane na etaminie cienką włóczką. W koło idzie szlak, w pośrodku rzucik z kwiatów, bardzo to świeżo i ładnie wygląda.

Skoro mówimy o robotach, wspomnijmy też jedną, którą upodobały sobie Paryżanki. Z włóczki podwójnej, w rozmaitych odcieniach mchowych, robią prostą ściągaczkę, na piętnaście oczek. Ta ściągaczka wygotowana w wodzie i wysuszona, obcina się z jednego brzegu i wystrzępia. Taką fryzowaną frendzelkę naszywa się raz koło razu grube sukno, tworzy to bardzo ładny dywanik, jakby z mchu utkany. W odstępach dodają się drobne kwiateczki, z włóczki ponsowej, białej, złotej i t. d.

Taka frendzelka mchowa, naszyta trzy razy na tasiemce, służy do opatrzenia okien na zimę, zdoła ją też włóczkowymi kwiatkami.

Szeroka frendzla w tym rodzaju, używana do przysłonięcia glinianych doniczek z kwiatami.

Mech w ogólności bardzo modny. Owoce na stół podają zazwyczaj w koszyczkach, wyłożonych mchem prawdziwym. W ten mech zatknięte gałązki liści i kwiatów, przysłaniają owoc do połowy.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

**** Pszczoła.** Hodowcy pszczół i właściciele pasiek będą u nas mieli własny swój organ, gdyż pan Kazimierz Lewicki, dyrektor muzeum pszczelniczego, zamierza wydawać czasopismo, poświęcone specjalnie tej umiejętności. Program pisma jest dość obszerny, ma albowiem na celu: 1) rozpraszanie pasiecznictwo, 2) czuwać nad początkującymi pasiekami, przypominając, doradzając i pouczając. 3) Gromadzić spostrzeżenia rady i uwagi doświadczonych na polu pszczelnictwa pracowników. 4) Notować wszelki postęp na tej drodze. 5) Ułatwiać zbyt produktów. 6) Unikając sporów, dążyć do porozumienia pomiędzy wszystkimi naszymi pszczelarzami, dla łącznej pracy z ich własnym i ogólnym pożytkiem.

Program to bardzo piękny. Gdyby go w tak szerokim zakresie odpowiednio można utrzymać, pasiecznictwo doszłoby w naszym kraju do znakomitej świetności.

Pierwszy numer „Pszczoły” wyjdzie na początku Kwietnia, gdy skrzydłata jej imienniczka wymknie się z ula, inaugurując sezon.

Pomiędzy naszymi czytelniczkami znajdzie się niejedna pszczelarka, której ta wiadomość obojętną nie

jest, wszystkie zaś jako *pszczółki i mrówki* drobnej pracy domowej, sympatycznie przyjmą pokrewne im wydawnictwo.

W imieniu ogółu naszych „pszczółek”, witamy nowe pismo, życząc mu powodzenia.

**** Ostrzeżenie.** Ofiarą nałogu jakim się staje nadużycie morfiny, padła w Warszawie osoba młoda, bo zaledwie 24 lat licząca.

Przed półtora rokiem, cierpiąca na newralgię w głowie, z polecenia doktora, zaczęła używać tego środka, wewnątrz i za pomocą wstrzykiwań podskórnych. Ulga po użyciu morfiny okazała się widoczną, lecz zgubne w skutkach lekarstwo, po jakimś czasie należało znowu powtórzyć.

Pani X powiększyła dawkę a z powodu trudności w nabyciu n nas środka sprowadzała go potajemnie z zagranicy, przyjmowaniem trucizny osłabiając się coraz bardziej.

Zdenerwowanie całego organizmu postępowało szybkim krokiem, pojedyncze dawki nie robiły żadnego skutku, należało je powtarzać coraz częściej, wreszcie, pomimo energicznej kuracji, nieszczęśliwa kobieta w strasznych cierpieniach zakończyła życie, dopiero w chwili niebezpieczeństwa przyznawszy się mężowi, że nałogowo używała morfiny.

Notujemy ten fakt, należący do rubryki gazet codziennych, polecając go pamięci i uwadze osób, które nie zastanawiając się nad skutkami złego i dla chwilowej ulgi, zechciałyby go spróbować.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

**** Konie i powozy dawniej i dziś.** W wiekach średnich, aż do XIII stulecia, kobiety jeździły konno w ten sposób, jak mężczyźni, później dopiero weszło w użycie siodło poprzeczne.

Następnie, zwyczaj kazał, aby kobieta zajmowała miejsce na poduszce przytwierdzonej za siodłem i obejmowała rękoma siedzącego przed nią mężczyznę.

Wątpić należy, czy to było wygodne, a przytem krępowało ruchy jeźdźca, lecz zwyczaj ten przechował się do XVI wieku. Między innymi, jeździła w podobny sposób królowa Elżbieta, na jednym wierzchowcu, z faworytem swoim, hr. Leicester.

Używanie zaś pojazdów do przewożenia osób, było w średnich wiekach nader ograniczone, wszyscy posługiwali się końmi.

Pierwsza karetą przywiezioną została z Włoch do Paryża w 1533 r. pierwszą zaś karetą z oknami szklanymi, przyjechała w 70 lat później hiszpańska infantka Marya do Niemiec, a powozy do wynajęcia wprowadzono w Paryżu w 14 lat potem.

Następnie z biegiem czasu, przepych i zbytek w pojazdach, rozwijał się coraz bardziej. Jeden z książąt niemieckich, wjeżdżał do Warszawy 36 karetami, a weselny ekwipaż cesarza Leopolda, kosztował 38 tysięcy złotych, co jak na owe czasy, było wielką sumą. Dziś karetę ma każdy dorobkiewicz, a chociaż ceny są wysokie, nie odstrasza to jednak ludzi próżnych, którzy *aby się pokazać* bezprodukcyjnie topią w powozach kapitał, mogący się przydać na coś pożyteczniejszego.

**** Wystawa powszechna w Paryżu,** zapowiedziana na rok 89, pomimo wielu przeszkód i trudności, dojdzie jednak do skutku. Minister handlu żąda

kredytu 20 milionów fr. i obiecuje dla całego kraju wielkie korzyści, a projekt ostatecznie na radzie ministrów przyjętym już został.

Francuzi liczą głównie na Amerykę, Anglię, Włochy, Hiszpanię, Chiny oraz Japonię a wysadzają się w pomysły, ażeby wystawę jak najświetniejszą uczynić. Elektryczność dużą tu odegra rolę.

Komitet złożony z pięciu członków i 200 pomocników, obmyśli te cuda. Lecz dotychczas jedno tylko państwo zgodziło się na przyjęcie udziału w tej demonstracji narodowej, francuskiej, pragnącej pozyskać współudział Europy w obchodzie pamiątki 1789 roku. Państwem tem jest Grecya.

Może zachęcone przykładem inne monarchje zdecydują się z czasem, za co jednak ręczyć trudno. W takim więc razie, byłoby najlepiej ogłosić wystawę krajową, a pamiątce i głosowi opinii stałoby się zadość.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Kapelusze wiosenne.

Kapelusz okrągły z szeroko odwiniętym rondem, zdobny z boku ptakiem z kolorowymi skrzydłami, pokryty jest tym samym materiałem co krótki, weinany paletocik. Taką mufka z kokardą ze wstążki.

Kapotka jasna, atlasowa z rondkiem suto namarszczonem, zdobna wysoką kokardą i pękiem piór.

Kapotka z wysoką śpiczastą główką jest wokoło rondka i środkiem główki nagarniowana koronką przerabianą złotem. Kokarda z tej co pokrycie materji.

Kapelusz okrągły z wysoką główką, ma rondko z tyłu wysoko odwinięte, ku przodowi zniżające się a nad czołem spuszczone. Główka opasana szeroką wstążką z brzegami w ząbki, z tyłu pęk strusich piór.

Kapelusz cylinder zdobny kitką z piór tego samego koloru i płaską kokardą z wstążki.

Kapotka z tego co suknia materiału zdobna riuśką z jasnej koronki i kokardami z jasnej wstążki.

Kapotka związana wąską wstążką, z rondkiem dyademowem zdobna wachlarzowo fałdowaną koronką jasną i ciemną naszytą perełkami. Na środku rondka kokarda.

ZAWIADOMIENIE.

ZAKŁAD NAUKOWO-REKODZIELNICZY

pod kierownictwem

Natalii Smólskiej,

przy ulicy Ś-o Krzyckiej N. 19.

Przyjmuje uczenice na naukę pojedynczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specjalności należących, dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, Wiadomości o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedynczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześniej zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy, na żądanie, w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonymi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

Czas trwania i sposób opłaty są następujące:

Nauka fachowa w grupach, opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa, kwartałów 2 (miesiące 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką, podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należące — kwartałów 3 (miesiące 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesiące 6).

Lekcyce odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedynczych przedmiotów, opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesiące	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane do rzemiosł	„	6
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie

„ „ Korespondencyi „ 4 „

Lekcyce co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.